

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIEŻNICZKA

Ciąg dalszy.

— Zaprowadzę sama. Wiesz, że mam dla ciebie tajemny kącik, tam spędzicie dzisiejszą noc, a co potem — to jutro zobaczymy. Niech Ludwika z dzieckiem będzie gotowa, ja idę po dorózkę.

— Tam czeka mój dorózkarz przed domem, nie zapłaciłam mu jeszcze.

— Tem lepiej, prędzej zbierajmy się!

— Lecz nie jadłaś obiadu.

— Ty także: zjesz po drodze, prędzej tylko.

Joanna szybko ułożyła małą walizkę, Ludwika schwyła dziecko i pospiesznie wyszły. Przed odjazdem Wiera szepnęła jeszcze na ucho Joannie:

— Zapamiętaj dobrze; gospodni w restauracji powiesz po cichu jedno tylko słowo: *Wiereso*. Będzie wiedziała, że to ja was posyłam. Obiad niech wam poda w bocznej sali. Tam się spotkamy.

— Lecz dlaczego nie jedziesz z nami?

— Będę zajęta i to w tej sprawie. Bądź spokojna. Zobaczymy się wkrótce — odezwała się Wiera i podała adres dorózkarzowi: ulica Baynouard.

Joanna jechała pełna lęku, bo choć ufała najzupełniej Wierze, ten nagły wyjazd do tajemniczego miejsca, w którym po wypowiedzeniu hasła mają znaleźć dla siebie schronienie, przejmował ją obawą. Chciała wracać. I istotnie, gdyby dorózka zawróciła, trafiłaby właśnie na tę chwilę, gdy Brunot, inspektor policyjny, pukał do jej domu, by dać znać o zamienionem dziecku.

W jakież niezwykle sposób trafił Brunot do miejsca, gdzie miało zakończyć się poszukiwanie niemowląt: z ogrodu do mamki Zoe, od niej do Marvi jedzącej obiad u swego szwagra stolarza, stąd do Flochara, następnie telefonem do mera w la Roche-Forte, z otrzymanymi informacjami do cukiernika na avenue Victor Hugo i wreszcie do willi Joanny, niestety zamkniętej. Gdyby kilka chwil wcześniej zjawił się, cała sprawa byłaby już zakończona. Tym razem Wiera pomyliła się.

Gdy Brunot zawiedziony oddalał się od willi, dorózka zajechała na ulicę Baynouard i zatrzymała się przed niewielką restauracją. Na progu ukazała się jakaś garbata kobieta, o cierpiącym wyrazie twarzy, z kędzierzawymi włosami, przypatrując się podejrzliwie tym nowym gościom.

— *Wiereso* — szepnęła jej Joanna.

Szeroki uśmiech ożywił twarz restauratorki.

— Proszę, niech pani pozwoli — odpowiedziała żywo. — Czem pani mogłabym służyć.

— Czy nie mogłybyśmy zjeść obiadu, ja i moja mamka?

— Proszę unieść; akurat boczna sali jest wolna. Może pani przejść przez sieni.

Prowadzone przez gospoдинę, minęły ciemną sieni, z której widziały salę restauracyjną z kilkoma robotnikami i znalazły się w bocznym pokoju. Garbata restauratorka zaczęła gorliwie usługiwać im. Stół nakryła białą serwetą, przyniosła czystutkie nakrycia i podała wazę, z której ku wielkiemu zdziwieniu Joanny rozchodziła się woń najsmaczniejszej zupy. By ulżyć mamce, która dziewczynkę trzymała na ręku, przyniosła koszyk wysłany poduszkami i prześcieradłem i pomogła troskliwie złożyć w nim dziecko. Inne potrawy, dostarczone przez restauratorkę, również były doskonałe. Zaledwie zjadły obiad, otworzyły się drzwi i ukazała się w nich Wiera.

— Nareszcie!

Minę miała niezadowoloną.

— Nie mogę zaprowadzić was tam — odezwała się — dokąd wiesz; niespodziewana przeszkoda...

Joanna domyśliła się, że mówi o pawilonie ukrytym w ogrodzie, gdzie przedtem znalazła dla siebie schronienie Aurora.

— Najlepiej będzie, gdy tutaj zostanieie. Na pierwszym piętrze jest czysty pokój z dwoma łózkami. Jutro zastanowimy się, co dalej robić. Może dzienniki przyniosą nam jakie wiadomości. Na razie muszę cię opuścić; bądź tutaj najzupełniej spokojna. Jutro o szóstej rano zobaczymy się.

— Ja się boję...

— To było możliwe...

— Zapewnij mnie przynajmniej, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo!... — zawołała Joanna, coraz bardziej przerażona.

— Bądź pewna, że nie będę szukała żadnego!... Dobranoc, do jutra!

Gospoдинi zaprowadziła Joannę i mamkę do pokoju na pierwszym piętrze, zaświeciła lampkę nocną i życząc dobrej nocy, wyszła.

Ludwika zaraz położyła się i zasnęła tak mocno, iż Joanna musiała budzić ją w nocy, by nakarmiła dziecko, które zaczęło płakać. Sama po zamknięciu drzwi na zasuwkę położyła się w ubraniu, lecz ani na chwilę nie mogła zmruczyć oka. O drugiej godzinie w nocy spostrzegła, iż lampka zaczyna gasnąć. Chciała poszukać zapalnika i zapalić świecę, odczuła jednak jakiś skutek poprzednich zajęć, jakby przykuła ją do poscieli. Naraz usłyszała jakieś szmery. Nie mogła określić, skąd one pochodzą, rozpoznała jednak, iż ktoś po cichu rozmawia. Po chwili ujrzała i blade światło, jakby wychodzące z dziurki od zamku, lecz dość wysoko mniej więcej na dwa metry od podłogi. Pełna obawy, zdjęła po cichu trzewiki i zsunęła się delikatnie z łóżka, które na szczęście nie skrzypnęło. Bez najmniejszego szelestu przystawiła krzeselko do ściany, weszła na nie i zajrzała przez tę świecą się dziurkę. Zdziwienie jej było niezwykle, gdy ujrzała przy stole Wierę, która winna była według tego, co mówiła, być stąd daleko.

Pokój, w którym się znajdowała, był bez okna, nieumeblowany, stał tylko stół, stary sekretarzyk i trzy krzeselka. Rozmawiała z garbatą restauratorką jakimś obcym językiem, zapewne rosyjskim. Po ożywieniu ich twarzy poznać można było, że mówią o czemś ważnym, zwłaszcza dla Wierę, która jakby słuchała jakiegoś raportu. Tak przynajmniej zdawało się Joannie. Uderzył ją także niezwykle inteligentny wyraz twarzy gospoдинi i sposób jej zachowania się, który zdradzał, że należy do najlepszego towarzystwa.

Po chwili wszedł jakiś człowiek w zniszczonym ubraniu, z płaskim nosem, o siwiejącej brodzie, ze szramą na czole. Opościadał coś, poczem wyjął z kieszeni nóż, odpruł podszewkę od marynarki, wyjął jakiś pakiet owinięty w płótno i podał go Wierze. Rozwinęła go, były tam listy, które z pewnem wzruszeniem zaczęła czytać, a po skończeniu oddała je garbatej gospoдинi, która również je przeczytała. Na twarzach ich pobladły, nagle odmalował się jakiś wściekły gniew, rozpacz i ból, jakby z listów tych dowiedziały się strasznych rzeczy. Łzy pociekły im z oczu; potem słyhać było jakby ciche ich łkanie.

Dla ukrycia swego wzruszenia, gospoдинi zaczęła przyszywać temu człowiekowi podszewkę, poczem Wiera kiwnęła mu głową i podała mu rękę, którą on pocałował niezgrabnie, lecz z pewną dumą i wyszedł. Miejsce jego zajął inny, młody blondyn bez zarostu, o twarzy jakby natchnionej. Podał rękę Wierze i zaraz zaczął mówić coś bardzo prędko. Wiera przerywała mu kilkakrotnie, jakby, jak zdawało się Joannie, zwracała mu uwagę. Gdy skończył, wyjął z kieszeni grubo wypchany portfel i do był z niego kilka paczek banknotów; pieniędzy tych było zapewne bardzo dużo, gdyż Joanna zauważyła, iż paczki te miały naznaczone cyfry po 500 i 1000. Wiera niedbale przeliczyła je i podała gospoдинi, która schowała całą tę paczkę pieniędzy do starego sekretarzyka.

Po wyjściu młodego człowieka, obie zaczęły o czemś rozmawiać, jakby dzieliły się wrażeniami. Nagle wyraz ich twarzy zmienił się, zamilkły, wzrok ich stał się nieruchomym: dosłyszały jakiś szmer. Gospoдинi szybko zgasła lampę. Joanna nie już nie widziała, ogarnęły ją ciemności. Zeszła pospiesznie z krzesła i położyła się na łóżko. Zaledwie zdążyła to uczynić, gdy usłyszała na korytarzu zbliżające się ciężkie kroki. Poruszono zamkiem, na szczęście zamknęła drzwi na zasuwkę.

Zawołała na mamkę, lecz Ludwika spała głęboko. Szmer ucichł, potem dosłyszała oddalające się kroki. Zeskoczyła z łóżka i zapaliła świecę; od drzwi doszedł ją znowu jakiś lekki szelest i łagodny głos gospoдинi, która zapytała:

— Czy pani czego nie potrzebuje? śpię obok i zdawało mi się...

— Nic, nie, dziękuję — odpowiedziała Joanna, drżąc na całym ciele. Gdy już wszystko ucichło, przystawiła do drzwi stolik nocny i fotel i tak zasnęła do rana.

zaraz rzucił okiem na fotel ofiarowany Roggersowi, był on jeszcze nie zajęty, lecz w samą chwilę gaszenia światła, woźny teatru podprowadził do niego jakiegoś starego pana z orderem legii honorowej, wygolonego, o siwych włosach, z miną lekarza lub profesora prowincjonalnego.

Smith albo dał swój bilet temu jegomości, albo też staruszek ten pomylił się — pomyślał markiz, nie zwrócił jednak na to większej uwagi, lecz zaczął się przypatrywać zebranej publiczności. Znał prawie wszystkich; byli to stali bywalcy premierow. Z niejedną z dam, które wystąpiły we wspaniałych toaletach, łączyły go dawniej bliższe stosunki; przyglądał się im i teraz, co zwróciło nawet uwagę, nie znalazł jednak żadnej osoby, któraby odpowiadała jego pojęciu o intrygantce. W czasie antraktu odwrócił się plecami do sceny i lornetował uważnie te łoże, w których znajdowały się nieznane mu panie. Nie mogąc jednak dojść do żadnego wniosku, wyszedł zniechęcony na korytarz. Spotkał tam tego pana, który zajmował miejsce Smitha; wyglądał on istotnie na prowincjonalnego, zaśniedziałego uczonego, który chce czuć się wśród obcych ludzi zupełnie swobodnym. Dlaczego do diabła ten Roggers nie przyszedł, irytował się markiz, nie mogąc w żaden sposób natrafić na tajemniczą damę. Wyszedł na główne schody, potem do foyer, lecz napróżno rozglądał się, aż do uderzenia dzwonka. Zniechęcony wrócił do widowni.

Ku zdziwieniu znalazł na swym fotelu program z napisem ołówkiem:

*Łoża 3.*

Co to znaczy? Czy to jaka wskazówka? Kto ją dał? Spojrzał na miejsce Smitha, lecz staruszek siedział na niem najspokojniej, przecierając chustką od nosa lornetkę. Rzucił okiem na prawo na łoże Nr. 3. Siedziała tam na przodzie jakaś dama, której poprzednio nie zauważył. Była to blondynka o złocistych włosach, młoda jeszcze, coś w rodzaju profesjonalnych „piękności“, o wyrazistej twarzy, znamionującej pewność siebie i odwagę. Była bardzo wydekoltowana; okragłe jej ramiona jaśniały nad rubinowym stanikiem. Na spojrzeń jakie jej markiz rzucał, ani razu nie odpowiedziała, jakby ich nawet nie zauważyła.

Ciekawość jego była tak żywa, iż nie mogąc doczekać się antraktu, zwrócił się do swego sąsiada, jakiegoś starego generała i zapytał, czy zna tę nieznajomą.

— Piękna kobieta! — odpowiedział tamten po cichu.

Gruby finansista Lusbach, siedzący z drugiej strony markiza, usłyszał zapytanie:

— Nie tak bardzo. Tamta z Variétés ładniejsza. Palmers będzie ją znał.

Po skończonym akcie napróżno markiz szukał Palmersa, dziennikarza, który znał cały Paryż i wszystkie plotki; nie mogąc się niczego dowiedzieć, postanowił choć przyjrzeć się jej dobrze i opierając się o najbliższy przy łożu fotel, zaczął rzucać z pod oka na swą nieznajomą spojrzenia. Jednocześnie spostrzegł zaintrygowany, że i ten staruszek został olśniony jej pięknnością, gdyż najswobodniej przyglądał się jej ze swego miejsca, przez dużą lornetkę podobną do lupy. Spostrzegła to i ona, zwróciła się bowiem do starej damy w czarnej sukni i upudrowanych włosach, która koło niej siedziała:

— *Look at this white headed old fox!* (Popatrz na tę starą siwą małpę) i roześmiała się sztucznie, okazując białe piękne zęby. Potem dodała, jakby prowadziła dalej zaczęłą rozmowę:

— *Yes, it is curious to see how well — bred people are not jealous in this country.* (Tak, to ciekawe, jak ludzie dystygowani w tym kraju są mało zazdrośni).

Na to odpowiedziała stara dama:

— *The French morals are so corrupt that the husband who is not faithful does not mind if his wife is also unfaithful.* (Zepsucie francuskie, mąż który się źle prowadzi, mało się troszczy o to, że jego żona tak samo postępuje).

— *And then the aristocracy are so avaricious.* (A przytem — dodała nieznajoma — ich arystokracja jest tak skąpa).

— *Some of them even, grow rich with the disgrace of their wife.* (Niektórzy nawet bogacą się z hańby swych żon), — zakończyła rozmowę jej stara towarzyszką.

Markiz pobladł. Czy do niego było to stosowane? Bez wątpienia, słowa te nie były bez celu, były dla niego przeznaczone, on jeden mógł pojąć ich doniosłość. Bał się, że straci zimną krew i nie zważając na żadne konwenanse, wejdzie do nich i po tej szelmie... lecz co? Czy się przez to nie... Nagle obie damy, jakby uważając, że... podniosły się...